

## HELENA WITESIK

ur. 1919; Puławy



Miejsce i czas wydarzeń	Puławy, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Puławy, dwudziestolecie międzywojenne, Żydzi, handel, wygląd Żydów, stosunki polsko-żydowskie, sklepy żydowskie, żydowskie koleżanki, dzielnica żydowska, jatki, święta żydowskie, maca

### Żydzi w przedwojennych Puławach

Odróżniali się trochę, nawet ubiorem. Niektórzy nosili pejsy i te kaszkieciki takie, te czapeczki, chodzili [tak] po ulicy, myśmy się już do tego przyzwyczaili. Niektórzy nosili nie tylko pejsy, ale i brodę. A u nas tak nie bardzo jeszcze nosili wtedy brody, teraz to u nas dłuższe włosy i brody to tak troszeczkę więcej się spotyka, ale przed wojną tego nie było. Nawet Wadziowej mąż miał taką bródkę i taki rudawy był. Te dziewczyny, co chodziły ze mną do szkoły, to były normalnie tak jak i my ubrane. Nic tam nie nosiły [specjalnego], bo dziewczyny nie musiały nosić. Ciekawa jestem, jak ci chłopcy, co chodzili na Polną [do szkoły], czy oni w tych kaszkiecikach [byli], czy chowali, bo się bali, że chłopcy drudzy wyszydzą. Nie wiem tego. Żydówki nosiły takie wielkie peruki, sztuczne fryzury, odróżniały się, odróżniały. Na rynku nawet, jak chodziły kupować te gęsi, to wszystko, to, co oni lubią, tak inaczej troszeczkę wyglądały. W sobotę to przeważnie na skwerku sobie siedzieli i się tak wygrzewali, zawsze na powietrzu byli sobie. Weszli niby w społeczność tę, no bo wszyscy się przyzwyczaili i nikogo to nie raziło, uważali, że każdy kupuje to, co mu potrzeba i koniec. Nikt nie debatował nad tym. Mnie się wydaje, że jak człowiek urodzi się i wychowa w tym [środowisku], to nie myśli o tym. Chyba że jak bym skądś przyjechała i wcześniej nie widziała ich, to może bym patrzyła inaczej, przyglądałabym się, dla mnie by [to] było [coś innego], tak jak Cyganie, co raz na rok przyjeżdżali. Ale jak oni byli na co dzień, to już dla mnie to nie miało znaczenia żadnego.

Pamiętam, że sklepów Polaków było mało, na całej ulicy Lubelskiej było tylko dwóch panów, wiem nawet, jak się nazywali: Świdorski i Szlamański. W soboty, jak mamie coś było potrzeba, to już wiedziała dobrze, że w sklepie żydowskim tego [nie kupi], bo już jest zamknięte, tylko trzeba pójść [do Polaka]. Blisko był sklep, Żydówka prowadziła – przy Zielonej, koniec Skowieszyńskiej, tam gdzie mieszkaliśmy. To mama mnie [w sobotę] wysyłała do tych panów dwóch, bo wiedziała, że zamknięte są

sklepy [żydowskie]. Pamiętam, jak pojechałam z wycieczką szkolną do Kazimierza i mama chciała, żebym kanapki wzięła, to ja jej powiedziałam, że ja bym wolała sobie coś kupić, loda czy coś, bo to w lecie [było]. W jedną stronę płynęliśmy statkiem, a wracaliśmy autobusem. No i ja rzeczywiście wzięłam pieniądze i nic nie kupiłam, bo w sobotę byliśmy. Dobrze, że koleżanka miała trochę z domu wałówki, bo inaczej bym w ogóle nie miała ani bułeczki.

Te sklepiczki Żydów przy głównej ulicy – Lubelskiej i Piłsudskiego – to prawie do samego mostu [się ciągnęły]. Po tej stronie co kościółek, prawie przy kościółku takie różne z gwoździami [były], takie budeczki. A po drugiej stronie była apteka, to tylko apteka należała do Polaka, a obok były też bardzo bogate sklepy z obuwiami, z materiałami, bławatne. Już dalej ja tam nie chodziłam nigdy, bo nie miałam potrzeby. Ale do końca tak było. Tam była już bóżnica i łaźnia, to wszystko było, jak się idzie do mostu po prawej stronie.

Kiedyś, pamiętam, tata nam musiał kupić buty czy coś na zimę, to taki w mieście Żyd znajomy powiedział: „Panie Bieńkowski, pan ma pensję, ja się nie boję, może pan wziąć na kredyt i spłacać”. Jak takie większe zakupy jakieś były. Tak że ci Żydzi tak żyli jakoś z tymi miejscowymi tutaj [dobrze]. Nie było takich jakichś specjalnie [powodów], żeby sobie nie robili jakichś grzeczności, że tak powiem, choć to trudno powiedzieć grzeczność. Ja tam poszłam te buty przymierzyć. Wiem, że to mówił przy mnie, że on się nie boi – bo tacie zabrakło pieniędzy. Powiedział: „Ja się nie boję. Pan pracuje na państwowej posiadzie”.

Pamiętam [te koleżanki Żydówki] z ulicy Lubelskiej, była Goldman i była Blumenkranz. Jedna była taka zawsze ubrana, taka ładna dziewczyna, Cukierman, [rodzice] mieli hurtownię. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, bo raz zapytałam ją, czy w tej hurtowni mają i cukier. Ona kiwnęła głową, bo rzeczywiście był i ten cukier. Hurtownia, to wszystkie sklepy brały od nich. To już zamożni, jak już hurtownię [mieli].

[Mieszkali] przy Lubelskiej, przy Piłsudskiego w tych kamienicach takich dużych, co jeszcze teraz są sklepy, vis à vis domu handlowego. Te balkony poodnawiane teraz ładnie są, przez tych, co mają te sklepy, bo jak odnawiali sklep, to i górę. Ale jakie przedwojenne mury, jak [to] się trzyma. Te balkoniki takie masywne. No to właśnie tam Żydzi mieszkali.

[Synagoga] była po prawej stronie, jak się idzie do mostu, tam była i łaźnia, i synagoga. Ja w niej nigdy nie byłam, to trzeba przyznać. Ja tam do końca nie poszłam, nawet nie wiem, jak ona wyglądała. Oni mieli jakieś takie wąskie uliczki, tu sklepik, tu takie niby mieszkanie jakieś, jeszcze taka uliczka między. Tam się widocznie ci Żydzi tak budowali byle jak, bo coś takiego dobudowali – jak sklepik był, to coś dobudowali i takie uliczki jakieś mieli, takie, żeby dojść do siebie. Tam mało kto chodził z Polaków, oni dla swojej wygody takie porobili, żeby przejść można było – jak wyjdzie ktoś ze swego mieszkania albo ze swego sklepiku, żeby doszedł. O to chodziło. Niedaleko tej bóżnicy była łaźnia, też nie byłam tam nigdy. Jak się idzie do

mostu, to po prawej stronie, tam w środku gdzieś, w głębi. Łaźnia była miejska, nasza, polska. Tak podzielone było w tych Puławach – tu mieli ci [synagogę], to ich plac, to tu znowu była [własność] miejskiej rady.

Prosto idąc do mostu, to jeszcze [były] ich sklepiki. Apteka tylko w środku była, duży budynek, to polska [była], a tak to wszystko [żydowskie]. Z początku było ładne sklepy, a później, w stronę mostu, coraz biedniejsze, coraz biedniejsze. A od tyłu, w stronę tam Kołłątaja, mieściła się [właśnie] bóżnica i takie uliczki sobie robili do tej bóżnicy między tymi swoimi budkami, żeby dojść. Widocznie się w te zakamarki nie chodziło jako dziecko, [bo tam nie byłam]. A od Domu Nauczyciela jak się zaczyna tu od samego rogu, to ciągnęły się aż do rynku jatki, to były sklepy mięsne. To była wołowina szczególnie, bo przecież na pewno też sprzedawcami byli Żydzi, nie we wszystkich, ale [byli], bo mieli jeszcze ten towar tak zwany koszer, który mogli sobie kupić. Czysto tam było, miejskie rady dbały o to, musiało być czysto, w fartuchach [sprzedawali]. Przypominam sobie, że takie były czerwone drzwi, to wszystko było wybudowane specjalnie na to. Ja po [mięso] nie chodziłam, bo jeszcze wtedy rodzice załatwiali to, ale wiem, że to się tam mieściło – cały taki budynek, jak garaże nieraz budują, i tak drzwi, drzwi, drzwi, drzwi, drzwi. Nie to, że weszło [się] jednymi [drzwiami] i cały duży sklep, nie, następne [drzwi] – inny właściciel miał [sklep], bo widać było, że to każdy swoją ma tam część. W środku było wszystko czysto, wisiały takie kawały [mięsa] na jakichś ścianach takich. Tak dużo czerwieni [było], mnie utkwiło to, że to było takie czerwone – drzwi czerwone i w środku czerwono. A naprzeciwko były mieszkalne już takie domy i szło się tak w stronę rynku. Jakieś takie nieduże sklepiki przy rynku były też przed wojną. Coś się kupiło na rynku, można było jeszcze wejść do sklepu coś dokupić. Spożywcze takie nieźle nawet sklepy [były], właściciele tacy sympatyczni. Zapamiętałam sklep pani Łukasikowej, tam można było wszystko dostać i wszystko było w cenie normalnej i tak uczciwie. Kowalczyk, to też z rynku. A przy rynku to wiem, że pan Jabłoński sprzedawał, miał jakieś obrazy, świętości takie. Za tym mięsem, tym wszystkim, jeszcze była wapniarnia, wapno jakieś takie, które kupowali do wybielania. To za tymi jatkami. Już przed wojną się zaczęła sprzedaż wapna. To musiało być od ulicy tak zasłonięte, musieli to odizolować, żeby ludzie tego wszystkiego nie wdychali.

Jeszcze tacy Żydzi byli, [którzy] od czasu do czasu [chodzili i wołali]: „Handel, handel, garnki kupuję!”. Garnki takie, stare butelki [kupowali], z tłumokiem chodzili, [prosili], żeby strych przeszukać, żeby tam jakieś stare żelazko, żeby jakieś coś, to wszystko zabierali.

Tak specjalnie świąt takich na zewnątrz to nie było widać, wiem tylko, że w soboty [świętowali]. Przypominam sobie, że jak chodziłam do szkoły, to [Żydówki] przynosiły macę przed jakimiś świętami, myśmy nawet się częstowały. Tak się łączyły [te święta] z naszymi Wielkanocnymi. Nam smakowała ta maca od tych koleżanek szkolnych. Słyszałam plotkę [związaną z macą], któreś z moich koleżanek mówiły tak: „Chyba ich się zapytamy”. Ja mówię: „Nie róbcie im tej przykrości”. Pamiętam, że

to ja wystąpiłam, powiedziałam: „Nie pytajmy się, później będą się wstydzili, że my takie mamy poglądy”. Zawsze to jeden wiek, to trochę szkoda było. Jedni [w to] wierzyli, drudzy nie. Czasami, jak byłam młodsza, to myślałam sobie, że to jest możliwe, a drugi raz że nie. Dlatego może miałam te lęki, żeby nie iść tam gdzie blisko, gdzie ich jest więcej, gdzie jest bóżnica. To takie mogłam mieć [obawy], dziecko to odczuje. Ale później, jak się robiłam starsza, to nie wierzyłam. Powiedziałam, że to jest nieprawdopodobne, żeby tak było. Prócz tej macy to nic specjalnie takiego nie próbowałam. Wiedziałam, że robią gałki rybne, bo one nieraz mówiły, te dziewczyny w szkole, że to robią. Mówiły, że [robią] te gałki z ryb, te tłuszcze takie z gęsi, wątróbkę z gęsi, to opowiadały. Oni lubili chałki, te plecione bułki. Bardzo dużo kupowali tego. Ja troszeczkę [znałam] ten jadłospis ze słyszenia, ale zasadniczo jakoś nie interesowałam się tym specjalnie.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2003-11-12, Puławy
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"